Pozdrawiamy ze słonecznego Diu! – eee, niestety nie.

Czy można mieć większego pecha? Zmęczeni ostatnim tygodniem wszyscy czekaliśmy tylko i wyłącznie na obiecany, trzydniowy relax na gorących plażach Diu. Co dostajemy? Deszcz lejący się z nieba i zalewający nam nie tylko ziemię pod stopami, ale także plecaki i ubrania. Cóż, wygląda na to, że monsun nie jest dziś po naszej stronie. Nie tracimy jednak nadziei i podczas dziewięciogodzinnej podróży autobusem pocieszamy się nawzajem przewidując pozytywną prognozę pogody na kolejne dni. Jak to mówią, nadzieja umiera ostatnia. Trzeba natomiast przyznać, że miejsce to, nawet spowite ciężkim deszczem jest wprost przepiękne. Mknąc autobusem po gładkim asfalcie (tutaj nawet na największej wsi drogi są lepsze niż w Polsce) otuleni byliśmy z każdej strony palmami oraz hektarami zielonych pól, dzięki którym człowiek czuł się jakby w innym wymiarze.

Zawsze podczas długich przejazdów mamy trochę czasu na spanie, to przede wszystkim, ale również na refleksję i przemyślenia. Wyglądając przez okno wciąż nie potrafię się nadziwić, jak bardzo zaskakujące i sprzeczne jednocześnie są Indie w swoim pięknie. Obok myjącego się na ulicy riksiarza, który skrupulatnie naciera swoje chude ciało ostatnim kawałkiem mydła jak gdyby była to najcenniejsza rzecz jaką ma w posiadaniu, na chodniku roi się od śmieci i odpadków, które to zjadane są przez bezpańskie psy i święte, majestatyczne krowy. Za rogiem znaleźć możemy bogato zdobioną świątynię, w której posążki bogów noszą na swoich ciężkich, kamiennych szyjach majątek wartości zapewnie większej niż roczna pensja przeciętnego sklepikarza. Wszystko to współgra ze sobą i wyklucza się jednocześnie, to ciągła gra sprzeczności i absurdalności, w której zwykły śmiertelnik taki jak ja gubi się zwyczajnie, nie wiedząc co z tym wszystkim począć. Odpowiedzi nie nadążają za wciąż pojawiającymi się pytaniami. Co począć z bosym dzieckiem stojącym samotnie na chodniku? Gdzie jest jego mama, dlaczego nikt się nim nie zajmuje? Nie wiem czy podbiec żeby je ochronić, czy reagować, czy się tym nie przejmować, tysiące pytań, tak dużo rzeczy do zinterpretowania, tak mało czasu i zbyt wiele bodźców. Powtarzam sobie bez przerwy: przyjmij Indie takimi jakie są. Potem zdecyduj czy kochać je lub nienawidzić.

Po długiej podróży dotarliśmy w końcu do hotelu, który swoim europejskim wyglądem bardzo przypomina nam o domu. Dziś robimy pranie i odsypiamy ostatni tydzień. Wszystko to modląc się oczywiście o lepszą pogodę.

Diu jest innym miastem. Czysto, kosze na śmieci co kilka metrów, rodzice odbierają dzieci ze szkoły – czyste, zadbane dzieci. Ruch uliczny nie wydaje się być śmiertelnym zagrożeniem. Z drugiej strony to miasto taniego alkoholu, który można kupić wszędzie, a bary pełne są znudzonych czerwonych Indusów, zawieszonych między stołem a kuflem o każdej porze dnia. Pełno turystów i my jako jedyni z poza Indii.

Nie ma nic piękniejszego niż rysowanie stopą serc na piasku. I nieśmiałe morze.

Portugalczycy zostawili na wyspie Diu chrześcijaństwo. Ale chrześcijanie umarli albo wyjechali. Kościołów nie ma już tak wiele, a fort, symbol potęgi portugalskiej na wyspie – to dłuższa historia.
Porozrzucane w zieleni budynki, niedokończone mury, schody donikąd, zabudowania, okna z

widokiem na niebo. Wszystko co kiedyś tworzyło logiczną całość budowane w konkretnym celu, dzisiaj wydaje się zagubione, siebie niewiadome. Nieruchome mury pośród kładących się na przemian na różne strony traw. I wszystkie chyba gatunki drzew. W tym piękne rozłożyste. Wiele pni splecionych ze sobą w walce o niebo, a potem zrezygnowanych, opadających gęsto lianami do ziemi.

Pobielony opuszczony kościółek. Oglądaliśmy go zza zatrzaśniętej bramy, ale drzwi do budynku od dawna już nie było. Wewnątrz tylko ciemność i piski setki drzemiących nietoperzy.

Morze szare, niebo szare i dziurawe, słońce za chmurami, a przy plaży sprzedają kukurydzę. Czy nie brzmi znajomo? Piasek pod stopami tak bardzo podobny do naszego nadbałtyckiego. Zdecydowanie brakuje mew. I falochronów(choć bez mew stałyby smutne).

Za jednym z budynków bez dachu nad głową, za to z płaskorzeźbą nad wejściem, znajdowało się pomieszczenie z oknami wychodzącymi na morze. Morze Arabskie. Prostopadła ściana kończy się nawą wysoką, sklepioną kolebką, monumentalną, niemalże czarna zamszonymi ścianami, jakby okopcona. Wewnątrz, w końcu nawy postument przypominający ołtarz, katafalk, sarkofag, nie wiem. Na ścianie wyryte subtelnie podpisy kulturalnych zwiedzających. Ale napisy są niczym wobec wielkiego serca, kredą narysowanego nad domniemanym katafalkiem. I szum fal, pieniących się, mocarnych fal, kilkanaście metrów pode mną.

Dalej za dwiema rozgałęzionymi palmami, za siedmioma lasami latarnia morska, najwyższy punkt fortu. Idealnie odcinająca się od przygaszonego błękitu nieba, pomalowana w trzy grube pasy czarny-biały-czarny, a jednocześnie jakoś z nim harmonizująca. Aby wejść na wieżę należy uiścić opłatę wysokości 2 rupii (ok. 10 groszy). Latarnia nie jest wysoka, ale na górze szalenie wieje. Z góry wszystko wygląda pięknie i klarownie.

Klify versus morze. Siła spokoju opiera się dzikiej mocy, wznoszącej grzbiety fal na kilka metrów. Rozbryzgują się o ląd i słoną pianą wracają w głąb. Skały niewzruszone.
Nie pisałam nigdy, że jedno z moich przeżyć było ważniejsze od innych, ale dziś było.

Kościół katolicki. Po wizytach w obcych świątyniach i świątyńkach, barwnych, ale obcych, usiąść w prostej ławce i spojrzeć w kierunku światełka tabernaculum. Wewnątrz biało-błękitnie. Kasetony na suficie sypią się, stąd siatka rozciągnięta na całej powierzchni nawy, bardzo z resztą wygodnie dla przysiadających na niej gołębi. Ołtarze z ciemnego drewna, bogato rzeźbione, nad ołtarzem głównym wiele smukłych świec.

Tu jest spokój